

KTOŚ TAK BLISKO



Wojciech Wolnicki

**KTOŚ TAK
BLISKO**

TULPA I

Wojciech Wolnicki

[Kup książkę](#)

Copyright © by Wojciech Wolnicki, Stanica 2024
Copyright © by Wydawnictwo Opener, Stanica 2024

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67837-12-5 (druk)
ISBN 978-83-67837-13-2 (ebook)

Grafika:
Tobiasz Stochel

Redakcja:
Dagmara Adwentowska

Korekta:
Czcionka Natalia Tarka

Skład:
Studio *grafpa*, www.grafpa.pl



www.wydawnictwoopener.pl
[@wydawnictwoopener](#)
[@wojciechwolnicki](#)

[Kup książkę](#)

PROLOG

– Życie człowieka może się zakończyć na dwa sposoby: albo zginie z rąk innego przedstawiciela tego samego gatunku, albo zabije go Bóg. Jeśli to właśnie Stwórca pošle go do piachu, nieszczęśnik ma szansę na piekło. W przypadku śmierci z powodu ludzkiej zachcianki nie pozostaje nic innego jak niebo. I choćby nie wiadomo jak nagrzeszył, nie ma co liczyć nawet na czyściec. Tak jest i tak będzie po wieki. Koniec. Wiosna dwa tysiące czternastego roku. Kraków – czyta na głos Mariusz. – A może dwudziesty trzeci kwietnia dwa tysiące czternastego roku? Nie. „Wiosna” będzie lepsza.

Mimo popołudnia w gabinecie na poddaszu panuje półmrok, a jedynym źródłem światła jest ekran leciwego laptopa. Mariusz jeszcze raz przelatuje wzrokiem po ostatnim akapicie, po czym z zadowoleniem klika w ikonkę w kształcie dyskietki, żeby zapisać ukończony tekst. Mruga kilkakrotnie, by dowlżyć skupione zbyt długo na świecącym ekranie oczy. Z radością sięga po stojący na blacie biurka kieliszek z czerwonym winem. Dopija resztę, po czym szybko go uzupełnia, opróżniając do dna butelkę po znakomitym merlocie. I jeszcze raz uśmiecha się do siebie, po czym deklamuje w przestrzeń:

– *Ab alio expectes, alteri quod feceris.**

Wtem zza jego pleców wystrzeliwuje grube na dwa palce łąso. Sznur delikatnie opada na barki Mariusza. Nie na długo. Błyskawicznie ściągnięta pętla zatrzymuje się na szyi. Zanim rozluźniony radosnym rauszem

* Z łac. „Od innego oczekuj tego, co robisz drugiemu”.

mężczyzna orientuje się w sytuacji, coś szarpie go do tyłu wraz z obrotowym fotelem, na którym siedział. Oparcie tylko odrobinę amortyzuje upadek na plecy. Ból wdzierza się przemocą do świadomości i panoszy po ciele. Jeden z podłokietników najpierw wbija się w okolice nerek, potem łamie pod naporem ważącego prawie sto kilogramów miłośnika książek i piwa. Pętla znów się zaciska, tym razem bardziej dotkliwie. Mariusz dusi się. Łapie więc obiema rękami za ściskający gardło sznur, by go poluzować. Nerwowo wierzga nogami, usiłując się obrócić i przeszkodzić napastnikowi.

Nagle czuje na ciele nacisk buciora. Obcas wwierca się w obojczyk, jakby jego zadaniem było zgaszenie podeszwą tłącego się papierosa. Oprawca zapiera się nogą, by skuteczniej zaciągnąć sznur. Mariusz najpierw widzi ciemny rękaw, rękawiczki. Chce dostrzec twarz, ale obraz mu się zamazuje. Czuje, że zaraz straci przytomność. Wydaje mu się, że napastnik kryje się za maską. Bezradnie łapie jedną ręką but, ale nie ma dość siły, by przeciwstawić się naporowi. Równocześnie, drapiąc aż do krwi, usiłuje wcisnąć palce drugiej dłoni choć na centymetr między sznur a szyję. Udaje się, lecz im głębiej je wpycha, tym pętla zaciska się mocniej. Kolejne szarpnięcie w tył i coś chrupie w kręgach szyjnych. Ostry ból sfruwa przez cały kręgosłup aż do lędźwi. Mariusz pieje niczym zarzynany kapłon. Próbuje wykrzyczeć pytanie: „co tu się odpierdala?!”. Ze ściśniętego sznurem gardła dobywa się jedynie nieartykułowany charkot. W odpowiedzi pojawia się kolejne szarpnięcie, tym razem tak mocne, że kończy się utratą przytomności.

Kiedy wraca mu kontakt z rzeczywistością, najpierw odnotowuje, że bardzo boli go głowa. Po chwili zdaje sobie sprawę, że nadal znajduje się w swoim gabinecie, co dziwne, w samej bieliźnie i skarpetkach, a sznur zakończony pętlą na jego szyi przechodzi przez ozdobną, drewnianą jętkę wzmacniającą konstrukcję dachu. Ciało Mariusza napina się niczym struna. Wisi na dwóch cieńszych linkach przymocowanych do nieco napuchniętych, zsiniałych nadgarstków,

sprawiających wrażenie bardzo wytrzymałych. Przewieszone są przez tę samą belkę co łąso, naciągnięte niczym cięciwy łuku i gdzieś tam z tyłu dobrze przymocowane. Wydaje się, że Mariusz opiera się na własnych nogach, związanych na wysokości kostek i ud. Jego stopy czubkami dotykają podłogi. Mariusz słyszy i czuje oddech stojącej za nim zziąanej osoby.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – pyta z trudem, z jego ust płynie struga śliny.

W tym momencie łąso z pętlą u szyi naciąga się. Mariusz otwiera szeroko oczy z przerażenia. Próbuje złapać je rękami, ale bezskutecznie, linki trzymają mocno. Po kolejnym szarpnięciu jego ciało unosi się. Mariusz panicznie usiłuje dosięgnąć podłogi palcami stóp, lecz z każdą sekundą nogi oddalają się od bezpiecznego poziomu. Milimetr po milimetrze jego ciało dźwigane jest w górę. Zaciśnięta pętla u szyi dusi, a zgnieciona tęt-nica szyjna zatrzymuje dopływ krwi do mózgu. Mężczyzna czuje, że znów traci przytomność. Błagalne próby wierzgania całym ciałem powodują tylko lekkie rozkołysanie. Nie powstrzymują zbrodni. Jedyne, co Mariuszowi przychodzi do głowy w tym momencie, to myśl, że nie ma pojęcia, kim jest napastnik i dlaczego to robi. Postronny obserwator z pewnością mógłby ocenić, że dla oprawcy to nie łada wysiłek, nie korzysta z kołowrotka, lecz z drewnianej belki. Mimo że jest śliska, polakierowana na wysoki połysk, to jednak daje konkretny opór. Nieznajomy przeciąga po niej łąso z wielkim trudem, ciężko oddycha, zmienia pozycje, zapierając się nogą. Jego wielki cień tańczy, pojawia się i znika. Wiszący tuż nad ziemią Mariusz nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest przekonany, że dźwiga go silny jak tur gigant o nieludzkich zdolnościach. Chciałby wyblagać litość, ale artykułowane przez niego sylaby nie przypominają już ludzkiej mowy. Ostatkiem sił próbuje wygiąć dłonie w nadgarstkach, by je jakoś uwolnić, ale linki są zaciśnięte zbyt mocno. Jeszcze jeden błagalny jęk stłumiony ściśniętą grdyką, potem kilka pochrapywań, coraz słabszych, ledwie słyszalnych. I kilka drgawek. A w końcu cisza.

Zamaskowany morderca obchodzi go dookoła, by przyjrzeć się efektowi swojej pracy. A więc dokonało się. Poczytny pisarz Mariusz Tylek wisi bezwładnie w swoim gabinecie niczym kukła, kilka centymetrów nad podłogą. Oprawca sprawdza puls, dotykając żyły na kostce. Wzdycha z dumą. Nie jest osiłkiem, a jednak mu się udało. Jest ubrany w luźną, ewidentnie za dużą, czarną kurtkę, przez co sprawia wrażenie olbrzyma. Do tego ciemne, luźne spodnie, wojskowe buciory, ogrodnicze rękawiczki i szmaciana kominiarka osłaniająca całą głowę oprócz wąskich szparek pozostawionych na oczy. Lepiej takiego nie spotkać po zmroku, bo na sam widok można zejść na zawał. Teraz nadchodzi czas, by zwieńczyć dzieło. W tym celu z przyniesionej ze sobą torby wyjmuje taśmę klejącą i trzy ozdobne metalowe szpikulce do szaszłyków. Nie musi się spieszyć. Do późnego wieczora w domu nie będzie nikogo oprócz nich.

DZIEŃ

PIERWSZY

Cień bloku pada na osiedlowy trawnik, więząc w lodowatym szronie wierzchołki żdźbeł. Tam, gdzie zdążyły już dotrzeć promienie porannego słońca, trawa jest soczyście zielona i mokra. Jacek Tylek lubi stać przy otwartym na oścież oknie. Zaciąga się przez żarzącego papierosa porannym, rześkim po nocnym przymrozku powietrzem, a jednocześnie przypatruje bezmyślnie, jak granica pomiędzy szarobiałą a zieloną strefą wraz ze wschodem słońca przesuwa się w stronę placu zabaw. „Nie pokona uroku natury” – mawia w takich chwilach. Wiele razy wahał się, czy opisać to zjawisko w książce. Do dziś tego nie zrobił, bo w jego ocenie zielony kolor średnio pasuje do pisanych przez niego czerwonych od krwi powieści. Napisał ich prawie sześć, nie licząc opowiadań. Ktoś mógłby pomyśleć, że przysłówek „prawie” w tym wypadku jest nadużyciem i wcale by się nie pomylił. Tylek uznaje za gotową tylko jedną historię, która, niestety, do tej pory nie została wydana. I choć śle maile do kolejnych wydawnictw, przez ostatnie pół roku przyszła tylko jedna lakoniczna odpowiedź, że dziękują i życzą powodzenia. „Pozostaje tylko czekać, aż przyjdzie odpowiedni czas”, uważa poczynający pisarz. Kibicuję mu, bo pisze o mnie.

Kawa nalana ledwie parę minut wcześniej do ulubionego kubka ze Świętym Mikołajem nie nadaje się do picia. Straciła odpowiednią temperaturę, a miała wystarczyć na dwa papierosy. Jacek podchodzi do stołu, na którym obok laptopa leży popielniczka w kształcie otwartej trumny z kościotrupem, i gasi w niej wypalonego w oknie westa. Nie chce mu się robić nowej kawy, mógłby podgrzać tę zimną w mikrofalówce, lecz powstrzymuje

go niecodzienny widok. Przy kuchence stoję ja, były porucznik MO, obecnie prywatny detektyw, Robert Kortz. Majstruję z ustawieniami.

– Co cię tak zainteresowało? – pyta mnie Jacek.

– Czy wiesz, że przekręcenie gałki mocy z ósemki na dziesiątkę może skrócić czas podgrzewania kubka z kawą o trzynaście i pół sekundy? – odpowiadam pytaniem.

– Jakie to ma znaczenie? Pewnie prądu zużyje tyle samo.

– Ale zyskasz na czasie.

– Zrobisz mi kawę? – Z sypialni dochodzi zaspany głos Jowity.

Jacek chwyta stojący na niewielkim blacie czajnik elektryczny z zepsutą podziałką i potrząsa nim lekko, by sprawdzić, czy w środku znajduje się odpowiednia ilość wody. Jest jej jednak stanowczo za mało. Dolewa ciut, dość celnie ustawia czajnik na podstawce i wciska rozklekotany włącznik. Ulubiony kubek Jowity ma kształt greckiej stagwi. Przywiozła go ze wspólnej wycieczki do Aten, której on nie wspomina najlepiej. „Za gorąco i brudno”, powiedział wtedy, nie dbając o to, czy jego partnerce, której rodzice sfinansowali wyjazd, nie zrobi się przykro.

Do greckiej stagwi Jacek wysypuje dwie kopiaste łyżeczki mielonej pachnącej kawy i jedną płaską z erytrytolem. Kolejne nowe słowo. Jakby nie dało się posłodzić zwykłym cukrem. Zerka w stronę kuchenki, ale tylko po to, by sprawdzić, czy mnie tam nie ma. A ja jestem, a jakże, tyle że znów w jego głowie. Zamierzam słuchać.

– Pamiętasz, że o dziesiątej mam fryzjera? – Głos Jowity dociera zza ściany. – Wezmę samochód – dodaje.

– A o której wrócisz? – pyta Jacek.

– Nie wiem. Może jeszcze wpadnę do galerii.

– Przecież mam spotkanie klubu.

– Dzisiaj? Dziś dwudziesty trzeci. To nie pierwsza sobota.

– Tak, ale okazja jest wyjątkowa.

– Rób, co chcesz. Zresztą po co ci samochód, skoro jak zwykle będziecie pić?

– Chciałbym, żebyś mnie zawiozła. Z powrotem wezmę ubera.

– Postaram się wrócić przed szesnastą.

Woda w czajniku bulgocze, słychać brzdęk dzwonka oznajmającego zakończenie procesu gotowania. Lubię te nowoczesne kuchenne urządzenia. Ułatwiają życie. Za moich czasów mieliśmy tylko sokowirówkę i mikser. Tylek zalewa kawę, a gdy jej zapach rozchodzi się po kuchni, ujmując dwoma palcami mikroskopijny uchwyt greckiej stągwi i podpieając kubek drugą dłonią, drepcze ostrożnie w stronę sypialni.

Jowita leży w łóżku, lekko zaspana, ze smartfonem w dłoni, przewija palcem fejsbuka, przepraszam, Facebooka. Długo musiałem się uczyć tych słów, które nic nie mówią: smartfon, fejsbuk i wiele innych, jakby nie było polskich odpowiedników. Powinienem powiedzieć, że skroluje, ale to słowo nijak mi nie pasuje do człowieka, raczej do robota. Na moje oko partnerka Jacka nie wygląda na zainteresowaną tym, co widzi, zwyczajnie się rozbudza. Na widok przyniesionej kawy uśmiecha się. Kiedy Tylek podaje jej kubek, wiedzie za nim wzrokiem, ciesząc oczy ulubionym greckim ornamentem.

– A ty gdzie masz swoją? – pyta, dopiero teraz patrząc mu w twarz.

– Wystygła – odpowiada jej on beznamiętnie.

– Trzeba było podgrzać. Wiesz, że nie lubię pić sama.

Tylek nie lubi się tłumaczyć, a już szczególnie nie chce podawać prawdziwego powodu, dla którego nie skorzystał z mikrofalówki, bo wiązałyby się to z dalszą polemiką ze mną na temat odzyskiwania straconego czasu. Wiem, że tak. Siada obok niej na łóżku.

– Od której nie śpisz? – pyta Jowita.

– Od czwartej.

Przez chwilę zawieszają wzrok na przeciwległej wyblakłej ścianie, jakby była lustrem i przedstawiała prawdziwe oblicze ich związku.

– Przepraszam za wczoraj – mówi ona, licząc, że on to odwzajemni.

Jej wzrok jest jednak nieobecny, jakby wypatrywała prawdziwego szczęścia poza tym domem. On zaś nie odpowiada, ale słyszę jego myśli o tym,

że wczorajsza kłótnia to jej wina. Przecież ona doskonale wie, że hasła o śmierdzącym leniu niezmiennie działają na niego jak płachta na byka. Więc po co było to mówić? Żeby teraz przeproszać? Nie lubię jej, a jeszcze bardziej nie ufam. Wczoraj musiał się odgryźć. Od słowa do słowa skończyło się codzienną pyskówką. A kiedy wzajemne pretensje rozlały się po pokoju, nastała cisza trwająca aż do rana. Jacek ma tendencję do zostawiania niedokończonych rozmów i to nie jest miłe, przyznaję.

– Nie wyglądasz dobrze. Może się zdrzemniesz przed wyjściem? – pyta ona, tym razem z troską.

– W Kolanku chciałbym być maksymalnie o siedemnastej – odpowiada jej Jacek celowo nie na temat.

Wiem, że myślami jest już w restauracji na spotkaniu klubu, jego jedynej rozrywce, co do której sam miewa mieszane uczucia. Z jednej strony od lat odnosi wrażenie, że jest piątym kołem u wozu, z drugiej nie potrafi się uwolnić z więzów, które połączyły go z pozostałymi uczestnikami regularnych spotkań. Traktuje ich jak członków rodziny, z którą należy się koniecznie widywać, ale od czasu do czasu, by nie stracić z nimi kontaktu. A na co dzień uważać, bo z rodziną wychodzi się dobrze tylko na zdjęciach. Posiedzenia klubu odbywają się w każdą pierwszą sobotę miesiąca, wcześniej w osiedlowej pizzerii, a od pięciu lat w Kolanku N°6 przy ulicy Józefa w Krakowie, na Kazimierzu. Czasem w ogródku, rzadziej w osobnej klimatyzowanej sali. O tej tradycji Tylek zwykł mówić do Jowity, że to nieco przypalony, odgrzewany po raz wtóry kotlet panierowany z Polaka, podawany z młodymi ziemniakami z koperkiem i surówką z kiszzonej kapusty, lecz ona wie, że on tylko się droczy. Kolanko ma wysmienitą kuchnię, akurat nie tradycyjną polską, lecz można by rzec: wszystkie kuchnie świata w jednym, a także zjawiskowy klimat i przystępne ceny. Jeśli chodzi o klub, sprawa wygląda nieco bardziej skomplikowanie.

Stworzony niby na wzór Jamy Michalika cichy, na wpół prywatny Krakowski Klub Wielbicieli Agathy Christie został założony przez starszego

z Tylków, Mariusza, który już w wieku dwudziestu pięciu lat był rozpoznawanym pisarzem specjalizującym się w kryminałach. To on zaszczerpił w młodszym bracie, Jacku, zamiłowanie najpierw do czytania, a potem wciągnął go do swojego towarzystwa, by Młody przesiąkł aurą twórczego myślenia. Kiedy wzbudzone niejako na siłę zainteresowanie zakiełkowało w postaci dobrze skrojonego jednostronicowego shorta, Mariusz zaczął śledzić postępy brata, gdyż ku swemu szczęściu ujrzał w nim załazek potencjału. W aspekcie talentu braci dzieliła jednak przepaść. Mariusz urodził się z piórem w dłoni, stosował łagodny styl, jego książki czyta się z zapartym tchem, połyka w kilka godzin. Przede wszystkim był dobrym obserwatorem, starał się widzieć historię oczyma czytelnika. Potrafił biegle operować priorytetami. Jeśli coś wymagało spojrzenia z lotu ptaka, opisywał to niczym wytrawny strateg. Schodząc do szczegółu, wybierał tylko niezbędne informacje. Z kolei Jacek jest nadmierne drobiazgowy. Dzieli włos na czworo, nie widząc całej fryzury i na czyjej jest głowie. Miewa też szalone pomysły, których nie potrafi okiełznać i przekuć w historię. Wciska je czasem gdzie bądź, bo wydają mu się wartościowe. Żywcem bigos, ale wierzę, że kiedyś poprawi warsztat. Ukończył Wydział Chemii Politechniki Krakowskiej, a po dyplomie pracował w farmacji. Przymuszany przez ukochanego brata do praktyki pisania bronił się przed przeznaczeniem. Poza tym nie chciał, by porównywano go do Mariusza. Uznał, że jeśli zacznie pisać, z pewnością postara się stworzyć własny model pisarski. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Jacek miewa problemy ze strukturą, gmatwa wątki, czyniąc je niezjadliwymi. Niby wszystko ma ułożone w głowie, ale nie jest w stanie przelać wizji na papier. Do dziś znajomym z klubu pochwalił się tylko opowiadaniem. Nikt z paczki nie ma świadomości, że cały czas pracuje nad czymś większym. Nad moją historią.

Po kawie Jowita wchodzi do łazienki, by zniknąć tam na dobre trzy kwadranse. W tym czasie Jacek przegląda pobieżnie program telewizji, po czym ustawia nagrywanie kolejnego odcinka serialu. W mojej ocenie

jest nudny i przewidywalny, ale on go lubi, a nagrywa, bo nie miałby szans na obejrzenie. Przecież w trakcie jego emisji akurat będzie przebywał w restauracji i zapewne raczył się piwem lub jadł krem z warzyw z restauracyjnego ekoogródka albo obłędne naleśniki. I choć zna historię z serialu na wylot, bo czytał książkę, na podstawie której został nakręcony, każdy odcinek ogląda z uwagą, by uczyć się wynajdowania różnic w detalach. Uważa powieść za znakomitą, dużo lepszą niż telewizyjne dzieło, ale serial przez swój klimat i muzykę też jest niczego sobie. Tylko obsada, niestety, niedopasowana. I znów niemal jak co dzień wyobraża sobie, że znalazł się na planie filmu tworzonego na podstawie swojej książki. Wiem, że tak jest, bo słyszę te myśli, przecież mieszkam w jego głowie. Jowita, wychodząc z łazienki, zastaje go, kiedy siedzi na sofie w salonie, wpatrzony w ekran czterdziestocalowego Samsunga. Znów słowo, którego musiałem się nauczyć. Za moich czasów szczytem luksusu był Rubin. Jowita doskonale wie, że jej partner myślami przebywa gdzie indziej, bo w telewizji leci akurat chyba setny odcinek serialu paradokumentalnego pod tytułem „Ukryta prawda”. A przecież Tylek nie trawi żadnych tego typu durnych historyjek o ludzkiej wegetacji. W tym aspekcie się z nim zgadzam.

– Halo, tu baza – przywołuje go do porządku, po czym znacząco kręci głową.

Nieraz przyłapała go rozmawiającego ze mną lub pogrążonego w myślach. A on zawsze tak zabawnie się tłumaczy, co rusz kreując kolejne wymówki. Lubi tę jego nieszablonową wyobraźnię, bo trudno jej nie lubić, Jacek naprawdę ma łeb nie od parady, ale bujanie w obłokach ma swoje granice, mawia ona.

– Dziś druga rocznica śmierci Mariusza – mówi Jacek smutnym głosem.

– Przepraszam, zapomniałam. – Jowita podchodzi do niego i całuje go w policzek, po czym, zauważywszy, że zostawiła karminowy ślad po pomadce na jego kilkudniowym zarostcie, wyciera go palcem. – Tylko się nie opij jak ostatnio – ostrzega.

– Nie mogę obiecać. Znasz ich przecież.

– Znam ciebie.

Ich też zna. Kiedyś sama brała udział w tych spotkaniach, ale po śmierci założyciela uznała, że klub bez Mariusza nie jest tym samym klubem i odeszła. Jacek został.

– Ja tylko przypominam, że za każdym razem kończysz głową w miednicy – dodaje w lodowatym tonie.

Zmień płytę, myślę.

– Zmień płytę – powtarza za mną Jacek.

Kiedy ostatecznie zostajemy sami w mieszkaniu, on wspomina pierwsze posiedzenie klubu, na które został zaproszony jeszcze na trzecim roku studiów. Odkryło się ono w wyjątkowym miejscu, w restauracji Miód Malina, wyjątkowym z powodu wyjątkowych okoliczności. Z jednej strony wszyscy myśleli, że chodzi o kolejny sukces Mariusza, Jacek jednak do dziś ma wrażenie, że wtedy chodziło o niego. Że starszy brat, świętując w uznanej restauracji, chciał mu pokazać, jak może wyglądać i jego życie. A wtedy on sam brylował, był znany. Jego trzecia książka okazała się bestsellerem, sprzedał czwartą, a jeden z krakowskich teatrów zdecydował się wystawić sztukę na podstawie jego debiutu. Jacek, mimo że czuł dumę z poczynań brata, jeszcze wtedy nie liczył, że kiedykolwiek zechce pójść w jego ślady. Nie chciał mu robić nadziei. Kiedy przyszli do restauracji, najbardziej pracowity uczeń Mariusza i zarazem jego najlepszy kumpel, Roman Janas, popisывał się nędzną staropolszczyzną, co wszystkich niemiłosiernie irytowało, ale i tak było fajnie. Jacek pierwszy raz w życiu zobaczył swojego brata traktowanego jak guru. Wpatrzeni w niego, karmieni sukcesem uczniowie skojarzyli mu się z apostołami słuchającymi słów Jezusa. I choć sam nie jest szczególnie wierzący, tak to zapamiętał z religii, na którą chodził, bo wszyscy wtedy chodzili.

Kilka miesięcy później tenże Roman miał powód do dumy. Pochwalił się podpisaną umową na swoją pierwszą książkę o komisarzu Walewskim. I znów było co opijać. Kiedy nie dało się znaleźć wyraźnego powodu do

żłópania piwa, na temat nadrzędny awansowała analiza wypocin któregoś z członków klubu, omawianie cennych książek kolegów po fachu albo diagnoza, co warto przeczytać z innych gatunków. Poza kryminałami przyjaciele gustowali w thrillerach psychologicznych i horrorach. O żadnych obyczajówkach nie mogło być mowy.

Z powodu posiedzeń klubu z czasem Kolanko stało się kultową miejscówką. Czytelnicy, chcąc spotkać któregoś z ulubionych autorów, już od południa okupują stoliki. Stałym bywalcom tego miejsca zdarza się natrafić na siedzących w pojedynkę twórców, rzadziej w parze, ale za to o różnych porach. Wpadają do Kolanka w środku tygodnia na śniadanie albo zwyczajnie, by przy zwykłej kawie lub niezwykłej herbachie, pobycć tylko ze swoimi myślami i zapisać coś na przysłowiowej serwetce, czyli w notatniku smartfona.

Przez lata mimo przebywania wśród utalentowanych autorów Jacek Tylek nie mógł się pochwalić żadnym sukcesem, zresztą nikt nie wierzy, że w ogóle cokolwiek sensownego ukończy. Z powodu żartów na jego temat paraliżuje go strach przed blamażem w oczach „brata gwiazdy” i jego równie utalentowanych słuchaczy. Zawsze tłumaczy się tak samo: że jeszcze gromadzi materiały; a oni bez skrupułów podcinają mu skrzydła, szyszając bez opamiętania. Tylko Mariusz nie szczędził mu pobudzających do działania komplementów.

Dokładnie dwa lata temu świat Jacka runął do piekieł. Tego dnia znaleziono jego brata powieszzonego na lassie i linach w jego drewnianym domu w Mogilanach. Morderca zakleił mu uszy, usta i oczy taśmą klejącą, przez co odnosiło się wrażenie, jakby wisielec miał nie słyszeć, nie widzieć i nie mówić. Dodatkowo w podbrzusze wbito mu trzy metalowe piki, niby pamiątki z wakacji, ale wykorzystywane przez gospodarza domu do nabijania baranich szaszłyków. Z ciała od strony brzucha wystawały tylko fikuśne figurki cherubinków, ozdobne uchwyty długich na trzydzieści centymetrów szpikulców. Ich ostre końce przeszły na wylot, tuż nad nerkami. Z każdej rany wypłynęły niewielkie strużki krwi, które

pod zwisającymi zwłokami połączyły się w jedną czerwoną plamę. Ciało pisarza znalazła jego żona, Katarzyna. Psycholog policyjna stwierdziła, że dobrze się stało, iż dzieci zostały wtedy u dziadków, bo z takiej traumy ciężko byłoby im wyjść bez szwanku. Sprawa wlokła się miesiącami. Bez skutku. Mimo przesłuchania ponad setki osób nie udało się znaleźć mordercy. Każdy trop kończył się ślepą uliczką, a kolejni podejrzani mnożyli się w nieskończoność, ściągając policję na manowce. Równy miesiąc temu w internecie pojawiła się wzmianka, że sprawę zamknięto. Tymczasem w rok po pogrzebie każda z książek Mariusza Tylka zyskała status bestsellera. Katarzyna sprzedała prawa autorskie do adaptacji trzech powieści i na ich podstawie właśnie produkowano seriale, z których jeden przygotowywała platforma streamingowa o zasięgu globalnym. Dla Jacka jednak życie bez brata stało się nieznośną degrengoladą. Nie miał już nikogo, kto wspierałby go w realizacji pasji, bo Jowita, z którą jest w związku od pięciu lat, straciła resztki cierpliwości i coraz częściej daje temu wyraz. Może też dlatego, że Jacek zwolnił się z pracy i postanowił napisać serię kryminalną upamiętniającą ukochanego brata. Skupia się tylko na tym. Dłubie w niej godzinami, po czym kasuje, poprawia i nie potrafi się zdecydować, w którym kierunku poprowadzić główne wątki i jak je zakończyć. W międzyczasie regularnie uczęszcza na spotkania klubu, by nie stracić kontaktu ze znajomymi. Zdążył też znienawidzić tę tradycję, bo za każdym razem towarzysze przypominają mu o jego stracie, a czytelnicy brata podchodzą, by on w jego imieniu złożył im autograf. Dla nich nie ma znaczenia, że składa go inny Tylek.

O szesnastej trzydzieści Jowity jeszcze nie ma. W międzyczasie Jacek zdążył chwilę się zdrzemnąć, żeby po niedospanej nocy nie zasnąć podczas posiedzenia klubu. Po przebudzeniu postanawia spisać swój sen jako podwalinę pod plan siódmej historii o mnie, choć druga, trzecia, aż do szóstej nadal są rozgrzebane. Niby to seria, ale eksperymentalnie każda historia ma być prowadzona w inny sposób. Jak w dobrych serialach telewizyjnych. Co odcinek, to inny scenarzysta, inny reżyser. Dzięki temu wkrada

się coś na kształt świeżości. Tak sądzi. Plan kolejnej powieści należy roz-pisać w formie drabinki, w której każdy szczebelek odpowiada jednej klu-czowej scenie. Dziś nie czuje pewności, czy na tym etapie historia jakoś się broni. Musi się przegryźć, muszę do niej nabrać dystansu – myśli i dzwoni do Jowity, by się przypomnieć. Ona nadal nie odbiera, więc robi to jesz-cze cztery razy, ale także bezskutecznie. Punktualnie o szesnastej czter-dzieści pięć pisze jej wiadomość na Messengerze, znów trudne słowo, i nie odwracając wzroku od smartfona, czeka, aż Jowita ją odczyta. Odczytuje, choć dopiero po pięciu minutach, lecz także nie odpisuje. To nie w jej stylu, uznaje on, ale na tym etapie nic nie wydaje mu się podejrzane, choć ja nie jestem tego taki pewien. Do Kolanka udaje się taksówką zamawianą przez internet, czyli uberem, pozbawiając się jednej czwartej dzisiejszego budżetu. Wcześniej niby pozbywa się mnie. Mówi, że przestanie o mnie myśleć, ale ostatecznie zapomina, że miał to zrobić, a ja bawię się w tę jego grę. Postanawiam udać, że mnie nie ma, więc się nie odzywam. Wkłada te niewygodne spodnie. Jedyne, które nie przypominają, że obecnie jest tylko biednym pisarzem. Niestety też jedyne, które obnażają brak ruchu i stale rosnący brzuch. Z dnia na dzień Jacek coraz bardziej upodabnia się do starszego brata i nawet popuszczanie pasa niewiele pomaga. Po domu, czyli w pracy, chodzi w dresie, ale tylko od późnej jesieni do wczesnej wio-sny. W pozostałym czasie zakłada krótkie, sportowe spodenki z mocno rozciągniętą gumką i spraną koszulkę, według dzisiejszej mowy T-shirt, niemal codziennie ten sam. Tylko raz w miesiącu ubiera się „do ludzi”. Za każdym razem ubiór pozbawiający go komfortu dodatkowo go usztyw-nia. Ale podobno tylko do pierwszego piwa.

* * *

– Cześć, Młody – wita go na miejscu Roman Janas.

Jacek nie lubi, kiedy ktokolwiek nazywa go tak, jak wcześniej w zwyczaju miał Mariusz, a tym bardziej, gdy robi to buc mieniący się przyjacielem

rodziny i spadkobiercą spuścizny, czyli pisarskiego klubu. W dodatku nie się jeszcze nie zaczęło, a ten otyły łysol już śmierdzi piwkiem.

– Jesteśmy pierwsi? – pyta Tylek.

– Olga poszła do toalety. Załatwiłem nam na dziś osobną salę. Sprawdź, proszę, czy włączyli klimatyzację. Zamówić ci piwo?

– Poproszę pszeniczne, ale ja płacę za siebie.

– Nie wygłupiaj się. Wszyscy wiedzą, że jesteś goły.

Faktycznie. Od pewnego czasu rachunki za media w jego mieszkaniu opłaca Jowita, u rodziców nie chce żebrać, bo kiedy po śmierci brata zapowiedział, że olewa wyuczony zawód i odchodzi z pracy, by zająć się pisaniem, załamani rodziciele zapowiedzieli, że nie pożyczą mu ani grosza. Jacek śmiertelnie się wtedy obraził i zerwał z nimi kontakt. Do niedawna regularnie odwiedzał Katarzynę, wdowę po Mariuszu, by chociaż na chwilę zastąpić dwójce bratanków ojca i przy okazji zjeść z nimi obiad. Ale kiedy do ich domu w Mogilanach wprowadził się nowy przyjaciel mamy, Jacek usunął się w cień. Pełen nadziei, że w końcu przyjdzie pozytywna odpowiedź na temat jego książki, od czasu do czasu dorabia jako korepetytor matematyki i chemii. Dzięki temu dokłada się nieco do jedzenia i ma na papierosy oraz comiesięczne balangi.

Do sali wchodzi dwóch znanych Jackowi mężczyzn i jedna nieznajoma.

– Adrianna Kowalik – przedstawia się kobieta po trzydziestce i podaje dłoń.

– Jacek Tylek.

– Znamy się, ale możesz mnie nie kojarzyć – mówi ona, uśmiechając się kokietyrnie. – Jestem koordynatorką w dziale redakcyjnym wydawnictwa Opener. To ja byłam odpowiedzialna za wszystkie książki twojego brata, a także za kontakt pomiędzy nim a wydawnictwem. Na pewno o mnie mówił.

– Nie. – Stanowczy głos Tylka pozbawia się złudzeń.

– Nie? Dbałam, by wszystko działało zgodnie z harmonogramem. Dobrze nam się współpracowało. Do dziś jego książki sprzedają się jak szalone. Okropna strata dla branży.

Jacek z wdzięcznością kiwa głową, po czym odbiera od wchodzącego Romana kufel z zamówionym pszenicznym piwem.

– To wy się znacie? – dziwi się najstarszy pisarz, miazdząc Adrianę chłodnym spojrzeniem.

– Już tak – mówi Tylek, po czym korzystając z okazji, że dopiero poznana kobieta odwraca wzrok, lustruje jej rzucające się w oczy atrybuty.

W tym momencie do sali wchodzi Olga Zając, od razu wywołując zainteresowanie męskiego grona. Mężczyźni ustawiają się w kolejce, żeby ją objąć i pocałować na powitanie. Jacek jak zwykle najpierw spina się na jej widok. Kruczoczarne, rozpuszczone niedbale włosy, wytarta skórzana kurtka, spod której wystaje sportowa oliwkowa bluza z kapturem i klasyczne obcisłe jeansy, opięte na zgrabnych nogach. Kobieta od lat wygląda tak samo. Starsza od Jacka o trzy lata, ale młodsza od Mariusza o pięć. Po śmierci wiodącego prym pisarza nieco zamknięta. Kreowane przez nią minipowieści ewoluują w stronę thrillerów erotycznych z delikatnie zarysowanymi wątkami kryminalnymi. Biją z nich emocje przekraczające skalę. Mimo że Mariusz był żonaty i miał dwójkę synów, po jego śmierci niektórzy szeptali, że za życia czasem wpadał do Olgi i czytali po nocach klasykę. Nawet jeśli faktycznie był to najprawdziwszy romans, nikt przy młodszym bracie zmarłego nie nazywa tamtych schadzek po imieniu. Jacek raz tylko usłyszał, że Olga jest żoną Mariusza. I chyba właśnie dlatego w jej obecności czuje coś na kształt napięcia. Z reguły patrzy na nią z respektem, czasem podziwem, a bywają dni, że wywołuje w nim niezrozumiały dla niego niepokój.

– Niech mi któryś pomoże! – Dobiega ich głos Mirelli.

Pierwszy podrywa się Jacek. Kelnerka z wielką tacą utrzymaną oburącz usiłuje się precyzyjnie przemieszczać między niedbale poprzestawianymi przez gości krzesłami. Nie może dojść do stołu, by postawić na nim zamówienie. Dziękuje Tylkowi za pomoc słodziutkim uśmiechem.

– Żywiec bezalkoholowy dla Olgi, dla pani sok pomarańczowy, dla Gruzina cola, duży Heineken z sokiem dla Romana, a dla Jacka i Pawła

pszeniczne. – Mówiąc, rozstawia zamówienia, a na środku stołu umieszcza wielką miskę z chipsami o smaku sera gouda.

Roman wstaje, unosi kufel na wysokość klatki piersiowej, po czym deklamuje w patetycznym tonie:

– Mariuszku, niedościgniony mentorze, dziś mijają dwa lata, od kiedy nie ma ciebie pośród nas. Zawsze będziesz w naszej pamięci.

– Nie czekacie na pozostałych? – dziwi się kelnerka.

– Ileż można czekać? – odpowiada jej pytaniem Roman. – Zawsze się spóźniają, nawet nie potrafią uszanować rocznicy. Zresztą dziś wszystkie toasty będą w tym samym duchu. Zdążą na kolejny. Mariusz Tylek, cześć jego pamięci – dodaje i upija spory haust piwa.

– Amen – odpowiadają mu chórem pozostali i czynią podobnie.

– Przyprowadziłem Adriannę. Szuka nowych autorów dla wydawnictwa Opener – wypala Gruzin, upewniając się, że wszyscy zdążyli wziąć po pierwszym łyku.

Obca w towarzystwie kobieta macha niewinnie dłonią, jakby chciała przypomnieć o swojej obecności. Jedyne Jacek odwzajemnia przyjaznym uśmiechem.

– Wiem, że niektórzy z was są już związani z jakimś wydawnictwem, ale może warto rozważyć napisanie kolejnej serii, zupełnie nowej, tylko dla nas. Może z uwagi na pamięć o Mariuszu? Co sądzicie? – pyta, spoglądając najpierw w stronę Romana.

– Ja mam kalendarz wypełniony na kolejne dwa lata – wymiguje się Roman, pisarz z największym dorobkiem.

– Ale może coś mniejszego? Najpierw opowiadanie? Wydamy zbiór na cześć...

– Nie – przerywa jej stanowczo. – A może Tomek? Wiem, że jego patomorfolog Kowadło już nie bardzo schodzi – odgryza się bezceremonialnie.

Czuję, że Jacka dziwi takie zachowanie. Skoro to faktycznie znajoma Mariusza, może nie warto jej skreślać. Posyła jej kolejny uśmiech, ni to wspierający, ni wybaczący, by dać jej cień nadziei, a może bardziej

sobie. Wszak to on w tym tandemie czuje się petentem, jedynie on szuka wydawcy. Niestety Roman nie kryje irytacji z powodu niezapowiedzianego przyjścia kobiety przyprowadzonej przez Tomka, którego nazywają Gruzinem, choć moim zdaniem z Gruzją ma niewiele wspólnego.

– Z Tomaszem już się dogadaliśmy – oznajmia Adrianna. – Mamy umowę na trzy książki, ale potrzebuję ich więcej. Od kiedy zginął Mariusz, nie mamy nic nowego w kryminałach, a wiecie, że nasz szef jest lokalnym patriotą.

– Mariusz nie zginął, tylko został zamordowany – oburza się Roman. – Jak ona śmie? – dodaje niby do siebie, ale tak, żeby usłyszała.

– Przepraszam – tłumaczy się Adrianna i spogląda w stronę Tylka. – A ty? Masz już wydawnictwo?

– On przecież nie pisze. Jest tu z nami tylko z uwagi na swojego brata. Honorowy członek, że się tak wyrażę – mówi Paweł Noszczyński, rudzielec z wielkimi okularami.

Robi się ponuro. Wszystkie pary smutnych oczu bombardują Jacka, który przyparty do muru wieloma bezpardonowymi spojrzzeniami postanawia zabrać głos w swojej sprawie:

– Pół roku temu wysłałem do was swoją pierwszą powieść – zwraca się do Adrianny jednym tchem, po czym zagryza wargę, czekając na reakcje pozostałych.

– Hej, Młody, napisałeś coś? Dlaczego się nie pochwaliłeś? – ciska pytaniami Roman, po jego smutnej minie nie ma ani śladu.

– Napisałem, ale dopóki nie będzie umowy, nie ma się czym chwalić.

– Skoro pół roku temu, to albo trafiła do spamu, albo musiała zostać odrzucona – mówi z zawodem w głosie Adrianna. – Kojarzyłabym nazwisko. Przejrzę pocztę i dam ci znać.

– Wysłałem pod pseudonimem „A kropka Nakonda” – tłumaczy się Tylek.

Romek Janas parska, aż mu ślina spływa po brodzie.

– Masz coś do anakondy? – oburza się Jacek.

– Prześlesz mi rękopis? Jestem bardzo ciekawa, co żeś tam wykrobał. – Zaciekawiona Olga zwraca się do niego niemal szeptem.

– Zobaczę – mówi niby grzecznie, ale wiem, że odbiera to jako przymus.

W tym momencie otwierają się drzwi i do sali wchodzi trzech spóźnialskich: najpierw Piotr Kapusta, po nim Andrzej Branny, a na końcu wysoka i szczupła niczym tyczka Kamila Orłoś. Towarzystwo wstaje, wzajemne obściskiwania i powitania, jak tuż na początku rzadko organizowanej imprezy rodzinnej. Widać, że członkowie pisarskiego klubu są wobec siebie serdeczni, jakby zatęsknili za sobą. Jedyna obca, czyli pracownica działu redakcyjnego wydawnictwa Opener, odstaje od reszty swoim sztywniactwem, za co ewidentnie jest podwójnie ignorowana.

Mija dokładnie pół godziny. W międzyczasie sprawy same się przegadują, a piwa i napoje wypijają. I znów w klimatyzowanej sali, wyjątkowo zagospodarowanej na spotkanie klubu, pojawia się Mirella. Lekko sapiąc, odkłada na sąsiedni stół tacę wypełnioną szklankami i butelkami.

– Ja już dziękuję – odmawia Adrianna, lecz kelnerka kompletnie się tym nie przejmuje, zabiera niedopity sok i wręcza nowy. Wymienia pozostałym puste szklanki oraz butelki z piwami kraftowymi na pełne.

– Kolejna dostawa za dwadzieścia siedem minut? – pyta pozostałych.

– Oczywiście, potem za dwadzieścia cztery minuty, dwadzieścia jeden i tak aż do piętnastu. Potem znów co trzy minuty więcej, bo tempo picia spadnie – przypomina zasady Tylek, a że jest ich twórcą, robi to z zaangażowaniem godnym podekscytowanego Leonardo da Vinci, choć już po jednym piwie poszczególne głoski lekko mu się plączą.

Kiedy wymienia poszczególne interwały, Piotr, Andrzej i Olga wymieniają się wymownymi spojrzeniami, jakby po raz kolejny mieli ubaw z irracjonalnych rozwiązań młodszego z Tylków. Lecz nie wygląda to na czystą złośliwość, ale dobrotliwe traktowanie Jacka jako klubowej maskotki. Tak to oceniam. Roman odbiera swoje zamówienie, siorbie nieco, po czym zwraca się do Tylka z pytaniem:

- O czym jest twoja książka?
- Co? – dziwi się Jacek, tonem brzmiącym jak „co cię to obchodzi?”
- No o czym? Opisz w skrócie.

Jacek spodziewał się, że zaczną dopytywać. To zwyczajowa tradycja klubu, że w przypadku tych mniej doświadczonych, początkujących pisarzy ich nowe historie są przegadywane jeszcze na etapie konstrukcji, aż do dna. Młody jednak obawia się krytyki, poza tym uważa, że nie ma co zapeszać.

– O detektywie, który ma to szczęście albo pecha, że trafia na wymyślne morderstwa – mówi na odczepnego, kiedy badawczy wzrok najstarszego z paczki nie daje mu spokoju.

Mirella spogląda w jego stronę, wyraźnie celowo robiąc wielkie oczy, jakby pod publikę demonstrowała nadmiarową reakcję niczym z horroru, po czym puszcza oko do Gruzina. Pisarze uwielbiają tę niespełna trzydziestoletnią kelnerkę. Nie pozwalają, by ktokolwiek inny obsługiwał ich miejsce spotkań. Kiedy pewnego razu zachorowała, z jej powodu posiedzenie klubu zostało przesunięte o tydzień.

– Dajesz blurba – zwraca się do Jacka Olga, jak ja nie lubię tego słowa. – O co kaman i w ogóle, punkty zwrotne, plis.

Jeszcze gorzej. O co kaman? Plis? Blurba? Nie możesz zapytać: „O co chodzi w twojej książce, powiedz mi, proszę?”. Lubię Olgę, ale nie mogę się przyzwyczaić do jej języka.

– Nie. Poczekajcie. Chciałbym się dowiedzieć, jakie to są wymyślne morderstwa. Podaj przykład – ciągnie w swoją stronę Roman.

Tylek czuje się przygwożdżony, mam wrażenie, że w mig trzeźwieje. Nie zamierza tutaj obnażać swojej historii, w dodatku w towarzystwie pracownicy potencjalnego wydawcy, przed którą nie wolno się zbłąźnić, mimo że, nie wiedzieć czemu, reszta paczki nie darzy jej szacunkiem.

– Dajcie spokój. Kiedy książka zostanie wydana, to się dowiecie – odgryza się.

– Wiesz, bo może chcielibyśmy się czegoś nauczyć, panie Anakondo – ironizuje Roman, po czym wypija resztę kufła duszkiem.

Bardzo zabawne, myślę, lecz niestety jego drewniany żart robi wrażenie na towarzyszach. Cóż to za banda? Tylek rozgląda się dookoła w poszukiwaniu sprzymierzeńców. Wszyscy, poza Mirellą, mają ubaw, więc na niej opiera swoją kruchość jestestwa. Kobieta ma ciepłą, lekko pyzată buzię, krótko obcięte blond włosy i zgrabną, zadbaną fizycznie figurę, którą podkreśla obcistymi ubraniami. Nosi się modnie i elegancko jak na kelnerkę, dba o paznokcie, choć krótko je przycina. I nawet jej lekko umięśnione od noszenia wielu piw ramiona, w tym jedno z tatuażem przedstawiającym figlującego koziołka, jakoś do niej pasują, ba, nawet dodają jej uroku. Wiem, że Jackowi się podoba, ale ona nie jest w moim guście.

– To ja poczekam – mówi kelnerka. – Też jestem ciekawa, jakie to są te wymyślne morderstwa.

Masz ci los, myślę, ale widzę, że Jacek wołałby, by została jak najdłużej. Ciekawe...

– Mirello, skarbie, wiesz, jakie tu mamy zasady. Są tajemnice i tajemnice. Żadne pisarskie nie wychodzą poza ten stół. Zmykaj czym prędzej – przywołuje ją czule do porządku Roman. – A ty nie daj się prosić – zwraca się do Tylka.

Mirella melodramatycznie aktorzy, wykręcając usta w podkówkę, po czym odchodzi, przesadnie udając zasmuconą. W tym czasie Jacek wypija kilka haustów piwa na odwagę i po chwili mówi:

– Na przykład coś takiego: ofiara jest powieszona za dłonie, zasznurowane nad głową, jej nogi są naciągnięte w półszpagacie, każda przywiązana za pomocą grubej liny w dwóch różnych kątach pomieszczenia, a pod nią stoi butla z palnikiem, na którym gotuje się w garze żrąca substancja. Opary wrzących chemikaliów parzą jej nagie ciało, ostatecznie pozbawiając ją także życia. Generalnie śmierć w męczarniach.

Kiedy kończy, członkowie pisarskiego klubu wymieniają się spojrzeniami. Nie rozumiem, co w tym złego. Mnie się podoba. Niezręcznie ciszę przerywa Gruzin:

– Inspirowałeś się śmiercią Mariusza? – Pytanie brzmi jak obelga, dopiero teraz rozumiem ich reakcję.

– Powaliło cię? – włącza się Kamila i ostentacyjnie stuka palcem w swoje czoło, upewniając się kątem oka, że Jacek tego nie widzi. Ja widzę.

Tymczasem on spoziera nieufnie w stronę Olgi. Kobieta spuszcza wzrok, jakby nie chciała dawać schronienia jego szalonym myślom. Atmosfera gęstnieje jak budyń na mocnym gazie.

– To może wpadnę innym razem – odzywa się ni z gruszki, ni z pietruszki Adrianna, lecz widząc brak reakcji, wstaje i udaje się w stronę drzwi.

Po kilku krokach zatrzymuje się, by przed wyjściem zerknąć ostatni raz na członków klubu. Jedyne Tylek przyjaźnie patrzy w jej stronę, więc wraca i wręcza mu swoją wizytówkę.

– Nie przychodź tutaj więcej – żegna ją ozięble Roman. – Jakby coś się zmieniło, wiemy, gdzie cię znaleźć.

Odgłosem zatrzaśniętych z hukiem drzwi jeszcze przez chwilę bawi się echo. Następna kolejka znika dosłownie w ciągu kilku minut, w kompletnej ciszy, i tylko u panów. Olga i Kamila nie dotykają swoich szklanek. Jedna nabzdyczona siedzi z założonymi rękami, druga zupełnie nieobecna, udaje, że poprawia sznurowanie buta. Oba szklą się oczy.

– Dlaczego się z nimi związałeś? – zwraca się Roman do Gruzina. – To stajnia Mariusza. Świętość. Przecież sobie obiecywaliśmy. Poza tym ta Kowalik... Mówiłem, że nie wolno jej ufać.

– Nienawidzę swojej pracy. Chcę żyć z pisania – tłumaczy się Gruzin. – Przecież wy też. Męczymy się w nieswoich życiach, pracując w sklepie RTV, na budowie, w biurze projektowym, w Urzędzie Patentowym, zamiast robić to, co kochamy. – Zauważa pospuszczane głowy koleżeństwa. – Ile razy zmieniałś pracę, wierząc, że to ta ostatnia, bo zaczniesz wreszcie utrzymywać się z pisania? – zwraca się do

Kamili. – Zagwarantowali promocję i dwa oczka więcej, niż mam obecnie. Przelali konkretną zaliczkę.

– Nie czułeś, że robisz coś niewłaściwego? – kontynuuje Roman.

– Nie.

– Trzeba było przynajmniej nam powiedzieć, zamiast nas zaskakiwać w taki sposób.

– To ja wam opowiem, jak zginie jedna z moich nowych bohaterek – wtrąca Noszczyński.

Po śmierci Mariusza spotkania klubu pisarzy zbyt często kończą się na smutno, ale nigdy nie było tak drętwo jak dziś. Trzeba to przerwać, to oczywiste. Jeśli przyjaciele mieliby się teraz rozejść, niesmak by pozostał. Nie wolno się żegnać w niepokoju. Rozpaczliwie brzmiącą propozycję Noszczyńskiego podłapuje Olga.

– Dajesz, Paweł – proponuje, by nieco złagodzić ten unoszący się swąd złych wspomnień.

Noszczyński nabiera powietrza i wyrzuca z siebie jednym tchem:

– Moja bohaterka nazywa się Dziewanna Lamparska i zostanie nabita na pal.

– I co? To tyle? Ale mi nietypowa śmierć – drwi Piotrek Kapusta. – A mówiliśmy ci, żebyś odgrzebał historię Skóry albo przeszłość kamienicy Banasia. Szkoda, żeby się zmarnowało. To nasze, krakowskie tematy, które aż się proszą o wywleczenie na światło dzienne.

– Ale którą? Poproszę o detale. Mnie to zwyczajnie interesuje, jak została nabita na pal ta Dziewanna – docieka Roman, po czym posyła pytające spojrzenie w stronę Noszczyńskiego. – Co to za okropne imię? – dodaje niby do siebie.

Trudno się nie zgodzić, okropne.

– Co, którą? – dziwi się Paweł. – Wiadomo.

– A nie przez buzię? – pyta sztucznie uradowany Roman, po czym improwizuje, naśladując ulubiony z audiobooków głos Krzysztofa Gosztyły. – Ostra jak sztylet dzida wśliznęła się pomiędzy zaciśniętymi zębami

i opadła z hukiem, przebijając płuca, potem wnętrzności, a że była smukła i giętka niczym anakonda, po wykonaniu swej pracy opuściła ciało denatki prawym bokiem, tuż nad miednicą.

Kamila parska.

– Mam tytuł: „Połykaczka dzid” – dodaje od razu, rechocząc.

– Nic wam więcej nie powiem. Jacyś dziwni jesteście dzisiaj – kończy temat Noszczyński, po czym sięga po kurtkę zawieszoną na oparciu krzesła.

– Wyluzuj. To tylko niewinne żarty – tłumaczy się Roman. – Skończyły się chipsy. Za chwilę wracam. – Zmierza w stronę drzwi.

Jacek rozgląda się po twarzach znajomych. Każde z nich jest skupione na sobie. Jedni w zamyśleniu dopijają, co mieli do wypicia, inni nieruchomo patrzą w jakiś kąt bądź przeżuwiają w nieskończoność rozmamłanego w ustach chipsa. Słowa Pawła, że dla nich Jacek jest wyłącznie honorowym członkiem klubu, i to tylko z uwagi na pamięć o jego bracie, wybrzmiewają w jego głowie. Robi mu się przykro. Potrzebuje utulenia. Przez chwilę myśli o mnie, jakbym to ja miał mu pomóc w tej chwili. Nie jestem niańką, jestem detektywem, przypominam mu w myślach. Odgania mnie i kręci głową, co wygląda, jakby chciał odpowiedzieć tylko sobie znanym myślom.

– Jakoś nie mam dziś nastroju na te głupotki – wyrывa go z rozważań Olga. – Odprowadzisz mnie?

Tylek waha się, jak zareagować. Z jednej strony też ma ochotę stąd uciec. Z drugiej czuje, że jeśli nadal chce być w grze, nie powinien tego robić. Olga zaproponowała mu pierwszy wspólny spacer. Jeśli to prawda, że miała z Mariuszem tajemnice, powinien trzymać się od niej z daleka. A jednak ciekawość go zżera, czy ta historia z romansem, zawsze pozostająca bardziej w sferze domysłów niż konkretów, była prawdziwa.

– Chętnie – odpowiada i pomaga jej się wygramolić z ciasnego rogu, w którym siedziała.

W tym momencie wraca Roman, w dłoniach dzierży kilka paczek z chipsami i kabanosami oraz puszkę z orzeszkami ziemnymi.

– A co wy robicie? – dziwi się.

Jacek zdążył już poznać Olgę na tyle, że wie, iż ona nie lubi się tłumaczyć, więc odpowiada za nią:

– Zrobiło się późno. Idziemy.

– Jakie „idziemy”? – oburza się Roman. – Dziś świętujemy drugą rocznicę śmierci Mariusza. Brat musi zostać do końca.

Tylek czuje, jakby ktoś dał mu w mordę. Zerka w stronę Olgi, potem pozostałych.

– Roman ma rację. Ty zostań. Dam sobie radę. – Kobieta podejmuje za niego decyzję, a on nadal stoi jak cielę.

Dołącza do niej Kamila.

– I dobrze. Będzie więcej dla nas – komentuje Roman, rozrywając w dłoniach paczkę z kabanosami o smaku chili. – Pa, dziewczyny. A my, panowie, może jakaś kolacyjka? I przejdźmy na wódeczkę.